Styczeń-Luty 2017

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

228

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

RAJD ZIMOWY

20-22.01.2017

Kiedy uczestnicy trasy piątkowej, prowadzonej przez Michała Kulanka i Hermana, jeszcze smacznie spali w chatce na Skalance, grupa sobotnia, pod przewodnictwem Juzi, zbierała się skoro świt na katowickim dworcu, by ruszyć na spotkanie przygodom. Nikt nie spodziewał się, że zaczną się one jeszcze przed naszym dotarciem w góry. W pociągu dołączyła do nas wesoła gromada kolędników, którzy zmierzali na Żywieckie Gody w Milówce. Kolorowe stroje, maski, śpiewy, muzykanci przygrywający na akordeonie – przez dłuższą chwilę nie wiedzieliśmy na co zwracać uwagę. Nie mogliśmy się oprzeć i część z nas dała się porwać do tańca, Juzia natomiast została sprzedana przez Roberta, swojego rzekomego męża, za 10 000 zł.

Wysiadając w Rajczy dalej wspominaliśmy naszych towarzyszy podróży i żałowaliśmy, że nie dali się namówić na dołączenie do rajdu. Po uzupełnieniu zapasów na wieczór w pobliskim sklepie, udaliśmy się busikiem do Rycerki Koloni, gdzie mieliśmy czekać na resztę uczestników, którzy na miejsce przyjeżdżali samochodem. Oczekiwanie urozmaicały nam dzieci rzucające się śnieżkami, szykujące się na kulig. Byliśmy również świadkami bitwy na karimaty. W końcu ruszyliśmy w dalszą drogę, niestety nasz marsz nie trwał długo, bo tuż za zakrętem spotkaliśmy kierowcę, który ugrzązł w zaspie.

Chłopcy nie zastanawiając się pospieszyli z pomocą, reszta próbowała rozwiązać problem logistycznie, co chwila rzucając trafnymi uwagami. Do przodu, do tyłu – nic nie pomagało, może podsypać popiołem? I kiedy na horyzoncie pojawiła się pani z wiadrem, auto cudownie wyskoczyło z zaspy. Ufff, mogliśmy ruszać dalej. Naszym pierwszym przystankiem miało być schronisko na Przegibku, gdzie zmierzaliśmy z misją specjalną. Przetarta droga pozwoliła nam szybko pokonać podejście i już po chwili mogliśmy się raczyć pyszną szarlotką i popijać herbatę z miejscowymi specjałami. Na ścianie schroniska zawisnął plakat promocyjny nowego kursu, ulotki zostały rozdane, pamiątkowe zdjęcie zrobione, więc nie pozostało nam nic innego jak obrać za cel schronisko na Wielkiej Raczy. Ta część trasy okazała się o wiele trudniejsza, po chwili wszyscy przyzwyczailiśmy się do faktu, że zapadamy się po kolana, a czasem po pas. Znoje wędrówki wynagrodziły nam jednak widoki na Tatry, Małą i Wielką Fatrę i Góry Choczańskie. Cały czas zagrzewała nas również wizja czekającej w schronisku sauny.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy już dobrze po zmroku przekroczyliśmy progi schroniska, gdzie już czekała na nas reszta uczestników rajdu. Ciepłe, suche ubrania, pierogi, sauna – czego chcieć więcej po całym dniu wędrówki? Do pełni szczęścia brakowało tylko gitar i śpiewów. O to jednak nie musieliśmy się martwić, bo Radio Piekary i Herman zapewnili nam bogaty program artystyczny. Do łóżek powędrowaliśmy późno, co jednak nie przeszkodziło niektórym rajdowiczom, by skoro świt podziwiać wschód słońca na szczycie. Po śniadaniu nasze drogi się rozeszły, a zmierzając ku nizinom, w głowach kłębiły nam się już pomysły na kolejne wyprawy i podróże.

Gosia Hołomek

PRZEJŚCIE KONDYCYJNE KURSU

20-22 stycznia 2017

W tegorocznym przejściu wzięło udział siedem osób. Jeden z uczestników opuścił grupę po kilku godzinach marszu, w związku z innymi obowiązkami.

W góry pojechaliśmy pociągiem. Jako, że trasa oraz miejsce zakończenia, były tajemnicą, uczestnicy otrzymali polecenie kupienia biletów na przejazd z Katowic do Węgierskiej Górki. Podróż minęła w bardzo przyjemnym nastroju. Nic dziwnego, skoro przed nami była wizja nieprzespanej nocy i brodzenia w śniegu przez najbliższą dobę. W końcu padło hasło, że wysiadamy na stacji Radziechowy-Wieprz. Zebraliśmy manatki i wysiedliśmy z pociągu.

Była godzina 23:20, gdy oficjalnie zaczęliśmy przejście. Pierwszym wyzwaniem (wbrew pozorom) było wejście na górujący nad Żywcem Grojec. Szliśmy i szliśmy, aż w końcu ... może byliśmy gdzieś na wierzchołku? Może, gdyż następnie, podczas zejścia w bliżej nie wytłumaczonych okolicznościach znaleźliśmy się po niewłaściwej stronie góry. W taki spektakularny sposób rozpoczęliśmy przejście kondycyjne – zrobiliśmy kółko.

Wkrótce kursanci prowadzący grupę spostrzegli co się stało i obraliśmy właściwy kierunek. Kolejnym celem była Trzebinia. Po drodze mijaliśmy Zadki, gdzie w pięknej okolicy położona jest stadnina koni. Tam opuściliśmy na jakiś czas cywilizację, gdyż między nami, a wsią były do zdobycia dwa szczyty: kota 485 i Kępa, dodatkowo oddzielone głęboką doliną Sporyszka. Zabawy i śniegu było więc co niemiara. Gdy dotarliśmy do Trzebini była godzina 5 rano. Stąd Maksymilian odłączył się od grupy i dalej ruszyliśmy w sześć osób.

Ruszyliśmy dalej na wschód, mając na celu dotarcie do Jeleśni, zdobywając po drodze kilka szczytów Pasma Jastrzębicy. Rozpoczęliśmy marsz z zamiarem dojścia do szlaku biegnącego stokiem Wójtowskiego Wierchu. Ten etap udało się jednak zrealizować w zupełnie niestandardowy sposób. Wpakowaliśmy się w gęsty las, przez który biegła prawdopodobnie jakaś ponadprzeciętnie zarośnięta ścieżka. Po godzinie przedzierania się przez świerki, non stop sypiące nam za kołnierz śniegiem, dotarliśmy do szlaku, dużo dalej niż się spodziewaliśmy, bo już niebawem szczytowaliśmy na Jastrzębicy. Wciąż podekscytowani tą przeprawą, zrobiliśmy przerwę śniadaniową. Robiło się już jasno.

Teraz pozostało zejście do Jeleśni, gdzie zaplanowany był nieco dłuższy postój. Odcinek był długi i monotonny. Po nieprzespanej nocy stan psychofizyczny uczestników stał się stanem typowym dla takich niecodziennych wyczynów. Uczestnik powiedziałby: „Idę, ale jak gdzieś usiądę, to zasnę". Szliśmy przez Groń oraz stoki Kiczory a następnie odbiliśmy z Grapy w dół, do doliny Sopotni. Dzień zapowiadał się ciepły. Śnieg, który dotychczas był suchy i nieszkodliwy dla naszych butów teraz niestety zaczął wnikać w cholewy. Wiedzieliśmy, że nie uda nam się dotrzeć do mety suchą stopą. W końcu, o godzinie 11-tej dotarliśmy do Jeleśni. Zrobiliśmy zakupy i zjedliśmy obiad w karczmie.

O przespaniu się nie było jednak mowy. Od razu ruszyliśmy w dalszą drogę. Kierunek się nie zmienił, szliśmy na Lasek. Nim zaczęliśmy wspinaczkę po jego stokach, musieliśmy pokonać rzekę Koszarawę. Była ona zamarznięta, ale w wielu miejscach było widać płynącą pod lodem wodę.

Ostrożnie poszukaliśmy bezpiecznej drogi i udało się dotrzeć na drugi brzeg bez ofiar. Od tej chwili czekało nas długie brodzenie w śniegu. W końcu dotarliśmy na grzbiet, którym biegł szlak do chatki. W chatce zrobiliśmy sobie pół godziny przerwy na uzupełnienie ciepłej herbaty w termosach. Nie rozsiadając się ruszyliśmy w dalszą drogę. Czekało nas zejście do Koszarawy.

Gdy dotarliśmy na dół robiło się już ciemno. Wytyczyliśmy kolejny cel – jedno z osiedli na Kalików Groniu. Podejście było długie i trudne. Po całym dniu śnieg osiągnął najwyższy stopień wilgoci,

c.d str. 2

a dzikie podejście wydawało się nie mieć końca. W końcu znaleźliśmy cywilizację i byliśmy u celu. Stąd zaczęliśmy wędrówkę szlakiem zielonym i następnie czerwonym (Głównym Beskidzkim) na Mędralową. Było bardzo ciężko.

Po zapadnięciu zmroku dawało się we znaki zmęczenie i brak snu. Szlak nie był przetarty, ale za to utwardzony przez skuter śnieżny. Zdarzało się czasem, że zapadaliśmy się aż po uda, jednak na ogół skuterowy ślad utrzymywał nas na powierzchni. Osiągnęliśmy wierzchołek Mędralowej. Przejście trwało już prawie 24 godziny.

Nikt nie wątpił, że stąd udamy się już w kierunku mety. Kursanci jednak wciąż nie wiedzieli gdzie to będzie, a możliwości było kilka. Zaczęliśmy schodzić zielonym szlakiem na przełęcz Klekociny. Szlak choć nieprzetarty, pozwalał na względnie szybki marsz. Nikt już nie zwracał uwagi na wodę wewnątrz butów. Na przełęczy pojawiło się podejrzenie o noclegu w tutejszym prywatnym schronisku. Podejrzenie nie sprawdziło się jednak. Zarządzono dalszy marsz. Teraz nikt już chyba nie miał wątpliwości – ruszyliśmy w stronę Zawoi-Wełczy. Droga, choć asfaltowa, była pokryta kilkudziesięcioma centymetrami śniegu. Ten ostatni odcinek był więc długi i trudny, ale w końcu o godzinie 1:15, w niedzielę 22 stycznia, dotarliśmy do PTSM w Zawoi.

Tam czekało na nas całe kierownictwo kursu. Była wielka, syta kolacja. Każdy głodomór znalazł coś dla siebie. Do picia były dwa gatunki herbaty oraz szampan. Każdy wziął prysznic i jakoś tak ... nikomu nie chciało się iść spać. Jeszcze kilka godzin spędziliśmy na rozmowach i dyskusjach. Kolejnego ranka niektórzy jechali do domu skoro świt, a niektórzy mieli czas na odespanie. Wycieczka się udała i nie zostało nam nic innego, jak powrót do domu i leczenie odcisków.

Sebastian Lenartowicz

WSPOMNIENIA Z WYJAZDÓW

(Alpy, Apeniny, Szumawa)

Opiszę trzy wypady w góry. Dwa z nich to kombinowane wyjazdy pociągami.

Alpy (czerwiec)

W środę wieczorem przyjechałem do Kłodzka. Rano przez Międzylesie dotarłem do Lichkova w Czechach. U konduktora za 591 koron kupiłem bilet do czeskiego Rybnika. Podróżowałem sam, tymczasem w Czechach opłaca się podróżować w grupie. Druga osoba płaci za bilet ze zniżką 25%, dla trzeciej i kolejnych osób zniżka wynosi 50%. Miałem przesiadki w Ústi nad Orlici, Pradze i Czeskich Budziejowicach. Stamtąd dojechałem za korony do Freistadtu w Austrii. Jak okazało się schronisko młodzieżowe w tej miejscowości było nieczynne, dlatego spałem na kampingu na szerokim stole. Noc trwała krótko, już po piątej siedziałem w pociągu, który jechał do Linzu. Kolejny pociąg zawiózł mnie do alpejskiej miejscowości Steyrling. Była ósma rano, moja górska przygoda zaczynała się w piątkowy poranek.

Totes Gebirge

Przed dwunastą dotarłem do schroniska Steyrer Hütte, gdzie spędziłem dwie noce. Stylowe, drewniane schronisko leży na wysokości 1400 metrów. Roztaczał się z niego wspaniały widok na pokryte jeszcze śniegiem pasmo Totes Gebirge, z najwyższą górą Großer Priel (2515).

Zaraz po zameldowaniu ruszyłem w stronę szczytów Roßschopf (1647) i Kasberg (1747). Widoki były trochę zamglone, zanosiło się na burzę, która rzeczywiście nadeszła wieczorem. Oglądałem niezły spektakl, pioruny raz po raz uderzały w szczyty Totes Gebirge. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że jestem jedynym gościem w schronisku. Panowała tam swojska atmosfera. Gospodarze Traudi i Toni grali na akordeonach, gdy wspomniałem, że kiedyś grywałem na tym instrumencie, gospodarze wyciągnęli dla mnie trzeci akordeon i zaprosili do wspólnego grania.

Rano była piękna pogoda i za radą Toniego ruszyłem w stronę szczytu Schwalbenmauer (1657) a następnie wszedłem na Jausenkogel (1514). W nocy znowu przyszła burza. Gdy wstałem wczesnym rankiem na niebie nie było ani jednej chmurki. Mgły snuły się po dolinach, widoki w stronę Totes Gebirge zachęcały do wyciągania raz po raz aparatu. O 9.00 odwiedziłem kościół w Steyrlingu, a potem zaczął się wielki powrót. Pod wieczór znalazłem się w Lichkovie i tam w oddalonym 50 metrów od dworca hostincu zanocowałem za 200 koron. W poniedziałek jadąc przez Międzylesie, Wrocław dotarłem do Poznania.

Schwalbenmauer (1657)

Apeniny (lipiec)

Nasza letnia przygoda miała miejsce we Włoszech. Zatrzymaliśmy się na kampingu w maleńkiej Chiasernie w Apeninie Umbryjsko - Marchijskim.

Wokół rozciągają się góry średniej wysokości: Monte Acuto (1669), Monte Catria (1702) i nieco dalej Monte Nerone (1526). Zdobyliśmy dwa pierwsze spośród wymienionych szczytów. Te urokliwe góry przypominały mi Małą Fatrę. Leżą kilkadziesiąt kilometrów na południe od San Marino, ktore zauważyliśmy z Monte Acuto. Wspomniane szczyty były też widoczne z pięknej, renesansowej miejscowości Urbino, w której urodził się Rafael Santi.

Następnie odwiedziliśmy pasmo Monti della Laga, położone w pobliżu Gran Sasso. Spaliśmy na tanim kampingu agroturystycznym w Retrosi, zaledwie pięć kilometrów od Amatrice. Nikt z nas nie mógł mieć pojęcia, że za niecały miesiąc w Amatrice dojdzie do tragicznego w skutkach trzęsienia ziemi i miejscowość legnie w gruzach.

Wczesnym rankiem wyruszyłem na najwyższy szczyt tego pasma Monte Gorzano (2458). Monti della Laga to niezwykle piękne, prawie puste góry, spotkałem pasące się konie i stadko kozic. Ze szczytu podziwiałem widoki na sąsiednie pasma: Gran Sasso i Monti Sibillini. Najwyższy szczyt tych drugich gór Monte Vettore (2478) ucierpiał podczas tegorocznego trzęsienia ziemi. W poprzek góry, na długości kilku kilometrów, utworzyła się wyraźna szczelina. Góra jest mi bliska, bo byłem na niej kilka lat temu.

Ze względów praktycznych wspomnę o noclegu na kampingu w Anquillarze, nad wulkanicznym Jeziorem Bracciano. Z tej miejscowości kursuje pociąg do Rzymu. Bilet kosztuje 2,10 Euro. Zatrzymuje się między innymi na stacji Roma San Pietro, dwieście metrów od bazyliki św. Piotra.

Zainteresowała mnie góra Monte Amiata, położona w Toskanii. To nieczynny wulkan, znacznie wyrastający ponad okolice, jego wysokość wynosi 1738 m. Spaliśmy na kampingu w Castel del Piano, prowadzonym przez dziarskich ludzi, mających ponad osiemdziesiąt lat. Bardzo ciekawe było podejście na Monte Amiata. Do wysokości tysiąca metrów szliśmy przez piękny las, złożony z drzew kasztanów jadalnych, wyżej rosły buki. Sam szczyt pełen bud odpustowych, turystek na szpilkach i wrzeszczących dzieciaków nie był już tak ciekawy. Z wysokości 1400 metrów na szczyt prowadzi wyciąg krzesełkowy.

Szumawa (luty)

Na koniec wspomnę o tegorocznym wyjeździe zimowym do Szumawy. Wraz z żoną podróżowałem pociągami z Międzylesia do Ústi nad Orlici, Pragi i dalej z Pilzna do Železnej Rudy. Miejscowość ta leży na końcu Czech, zaraz za granicą w Bawarii znajduje się niemiecka Bayerisch Eisenstein. Z Železnej Rudy doskonale widać Großer Arber (1456), najwyższy w całym paśmie. Obydwie miejscowości: czeska i niemiecka połączone są linią kolejową, co ułatwia penetrację niemieckiej Szumawy. Z Železnej Rudy Centrum dotarliśmy do Železnej

c.d str. 3

Rudy Alžbětin, stacji leżącej na samej granicy, którą trudno zauważyć. Stacje czeska i niemiecka znajdują się w jednym budynku. Wykupiłem bilet z Bayerisch Eisenstein do Spiegelau. Całodobowy bilet, ważny w rejonie Bayerischer Wald, kosztuje 7,5 Euro. Później skorelowanym z pociągiem „Igelbusem" dotarliśmy do kolorowej wioski Waldhäuser. Stamtąd ruszyliśmy na Lusen (1373). Szczyt pełen rumoszu skalnego leży powyżej linii drzew, poniżej szczytu stoi schronisko. Niestety, była mgła i ograniczone widoki.

Monte Acuto

Innym razem przeszliśmy z Železnej Rudy znowu do Niemiec i dalej na szczyt Großer Falkenstein (1315). Tego dnia były niezłe widoki, w oddali na południu widzieliśmy Alpy Salzburskie. Także pod tym szczytem jest schronisko, było jednak nieczynne.

Großer Arber

Z miejscowości Špičák, położonej w pobliżu Železnej Rudy, poszliśmy nad Černé Jezero, jedno z kilku polodowcowych jezior w Szumawie. Z wieży widokowej, znajdującej się na górze Špičák (1202), obserwowałem między innymi leżący na granicy szczyt Ostry (1293), dalej Großer Arber i widoczne niżej na jego tle Čertovo Jezero.

Cieszyłem się, że jestem w Železnej Rudzie i że nie ma już żelaznej kurtyny. Chciałbym polecić Szumawę, która idealnie nadaje się dla turystów ze skiturami lub biegówkami. Po obydwu stronach granicy trasy były przygotowane dla wszelakiego rodzaju turystyki, śniegu pod dostatkiem.

Serdecznie wszystkich pozdrawiam. Do zobaczenia na leciu Koła

Piotr Piwczyk (Alojz)

JAK POSTANOWIŁAM ZOSTAĆ SUPERBOHATEREM

Dwa lata to 24 miesiące, 730 dni, 17520 godzin, 1051200 minut lub jak kto woli 63072000 sekund. Z jednej strony dużo, ale punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, bądź jak to zwykł mawiać jeden z naszych kursowych kolegów „wszystko jest kwestią znaków umownych". Zebrać do kupy to wszystko, co się wydarzyło jest niezwykle ciężko. Opisanie tego graniczy z cudem. Niemniej jednak podejmuję wyzwanie.

Nie będę opisywać wyjazdów, bo te systematycznie (lub też mniej :)) relacjonowane były na naszym forum. Zainteresowanych odsyłam właśnie tam. Chciałabym też zaznaczyć, że jest to podsumowanie całkowicie subiektywne.

Wszystko zaczęło się pewnego marcowego popołudnia na wydziale budownictwa. Pierwsze wykłady, pierwsze wyjazdy i jakoś ta maszynka zwana „Kursem Przewodnickim 2015/2016" ruszyła do przodu. Wciągała jak narkotyk. Po każdym wyjeździe chciało się więcej, więcej i więcej. Więcej gór, więcej przygód, więcej wędrówek, więcej spotkań z ludźmi… W zasadzie można by tak długo wyliczać.

Niestety życie kursanta nie jest usłane różami. Nikt na wykładzie inauguracyjnym nie założył nam na nosy różowych okularów. W ciągu tak długiego okresu czasu zdarzają się chwile słabości. W moim przypadku takich momentów, kiedy chciałam wszystko rzucić w cholerę, było kilka (w tym miejscu specjalne pozdrowienia dla Jaśka). Na szczęście wytrwałam do końca.

Odkąd pamiętam zawsze chciałam być przewodnikiem. Marzenie małej dziewczynki o czerwonej pelerynie „superbohatera" pchnęło mnie do tego, żeby pojawić się na kursie. Początkowo trochę niepewnie, a później z coraz większą śmiałością chłonęłam to wszystko, co mnie otaczało. Wykład inauguracyjny był moim pierwszym zetknięciem z Kołem. Wcześniej w zasadzie nie wiedziałam o jego istnieniu. Gdyby nie plakat, który wpadł mi w oczy na wydziale… Aż strach pomyśleć. Pamiętam jak siedziałam na budownictwie, a w głowie kołatała tylko jedna myśl – „co ja tu właściwie robię?". Na pierwszych wyjazdach nie było dużo lepiej. Ja – osoba, która kontakt z innymi ludźmi zawsze ograniczała do minimum – pojechałam w góry z 30 osobową grupą! Wcześniej to było zupełnie nie do pomyślenia.

Z początkowego okresu kursu niewiele pamiętam. Wykłady, wyjazdy, poznawanie ludzi, którzy pojawiali się i znikali równie szybko jak się pojawiali. Zdecydowanie łatwiej jest mi przypomnieć sobie miejsca, w których byliśmy oraz trasy którymi szliśmy niż ludzi, którzy na te wyjazdy jeździli. Później, gdy ukształtowała się ta właściwa grupa kursowa było już zupełnie inaczej. Lepiej. Z tego okresu pamiętam żelki. W zasadzie dużo żelek. Nie było wyjazdu, na którym nie mielibyśmy żelek. Zarówno tych tradycyjnych misiowych, jak i kwiatków, robaków i innych nosorożców. Już na samym początku staliśmy się „żelkowym kursem" i chyba do końca tak zostało. Nawet teraz, już po kursie, pierwszą rzeczą, jaką wkładam do koszyka w sklepie są żelki – no bo przecież bez żelek w górach ani rusz.

Wyjazdy bywały różne. Nie ma się co czarować. Jedne były udane, drugie trochę mniej. Do jednych dużo częściej wraca się we wspomnieniach i rozmowach, a na inne spuszcza zasłonę milczenia. Czynników, które na to wpływały było tak dużo, że chyba nie starczyłoby mi miejsca i czasu na wymienienie wszystkich. Często niestety decydowała pogoda – nawet jeśli kierownik zagwarantował słońce, to Matka Natura i tak miała to w głębokim poważaniu i robiła po swojemu.

Już na starcie kursu postawiłam sobie jasny cel: wymarzony i wyśniony już w dzieciństwie, magiczny, czerwony polar. Jest w nim coś takiego, co przyciąga. Choć w trakcie kursu priorytety się nie zmieniły, to na pewno zmienił się sposób spojrzenia na wszystko wokół. Zaryzykuje stwierdzenie, że kurs zmienia ludzi. Nie wiem czy na lepsze, czy na gorsze. To każdy musi ocenić indywidualnie. Nie ulega jednak wątpliwości, że przez te dwa lata człowiek jest w stanie dowiedzieć się o sobie samym sporo nowego. Pewne cechy charakteru, które miał przed kursem popadają w zapomnienie, a inne wręcz przeciwnie – pojawiają się lub stają się bardziej wyraziste.

Z kursem nieodłącznie wiąże się też jeszcze jedna rzecz. Pomijając góry, dla których większość przychodzi na kurs, oraz ogromny zastrzyk wiedzy, który kursantom aplikowany jest w trakcie trwania kursu, nie można zapomnieć o ludziach wokół. Bardzo ciężko jest „z ulicy" wejść w czyjeś buty, w zamknięte, powiedziałabym nawet hermetyczne środowisko. Dlatego uważam, że wszelkie próby porównywania kursów są bezsensowne, a niektóre uwagi, niezależnie, czy docierały do nas „pocztą pantoflową" czy też osobiście były niesprawiedliwe. W trakcie kursu bardzo długo towarzyszyło mi poczucie, że tutaj nie pasuję, że skończę kurs i to by było na tyle. W pewnym momencie coś się jednak zmieniło. Obecnie nie wyobrażam sobie świąt, w których chociaż jednego dnia nie spędziłabym na „naszym" Zagroniu.

Wspomnieć należy jeszcze jeden element, który nieodłącznie będzie kojarzył mi się z naszym Kursem – wspólne gotowanie. Swojego rodzaju tradycja, która zaczęła się od krótkiej wymiany zdań mojej i Jaśka poważnie wstrząsnęła kampusem Politechniki Śląskiej. Kuchnia w „Piaście" już dawno nie widziała takiego tłumu. Wspólne lepienie pierogów jest naprawdę fajne – polecam wszystkim gorąco. Działa trochę jak terapia grupowa. A jeszcze fajniejsze jest ich wspólne konsumowanie.

Czerwona peleryna superbohatera, którą wymarzyłam sobie w dzieciństwie, teraz w zasadzie jest na wyciągnięcie ręki. Dotarcie do tego etapu kosztowało mnie i każdego z nowoblachowanych bardzo dużo wysiłku. Niemniej uważam, i mam nadzieje, że pozostała trójka się ze mną zgodzi, że gra była warta świeczki.

Iza Dyrlaga

BLACHOWANI 2017

Kinga Konieczny, blacha 398

„Gdyby nie Reymonta potrącił pociąg” … Kobieta o mocnym charakterze rodem z Ustronia, człowiek „Sztandard”, rudowłosa dama – z wyboru :, zawsze uśmiechnięta i pomocna. Nasza własna Magda Gessler. Jej inicjatywie zawdzięczamy nasze kursowe „Harnasiowe Kulinaria” i przeróżne wariacje na temat pulpy. Jej podróżnicza dusza ciągnie ją na wschód. Zakochana po uszy w Beskidzie Niskim może godzinami opowiadać o cerkwiach. Marzy o tym żeby kiedyś stanąć na szczycie Motylkowej Góry. Na co dzień dba o to, aby ludzie nie stoczyli się na margines społeczeństwa, a ci którzy się tam znaleźli wrócili na właściwą życiową ścieżkę.

Iza

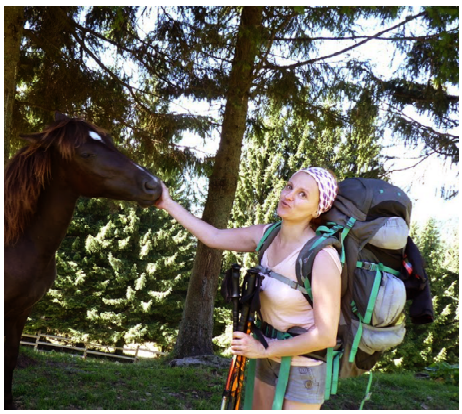

Kinga

Kamil Ziętek, blacha 399

Ziętek Kamil (red.: taka kolejnośc jest ponoć właściwsza) – miłośnik kolei, pulpy grzybowej oraz wyrobów etnograficznych pewnego Jerzego. Przygodę z kołem zaczyna dość młodo, dzieki czemu spotkał go zaszczyt posiadania Pały Harnasia. Atrybut ten pozostaje tym samym w Zagłębiu - krainie gdzie sieje się ziemniaki. W wolnych chwilach między wędrówkami górskimi oddaje się przejażdzkom rowerem, lub przy gorszej pogodzie pociągami. Jeżeli poruszasz się po liniach kolejowych numer 139, 97 lub 191 to możesz liczyć na jego pomoc w każdej kwestii, zresztą nie tylko wtedy. Kamil jest urodzonym poliglotą, potrafi posługiwać się językami takimi jak C, C#, C++, Pascal, Asembler – ten ostatni jeszcze w stopniu mało komunikatywnym. Od niedawna grywa na gitarze, jednak tutaj pozostaje tradycjonalistą ograniczając sie do języka polskiego.

Michał

Kamil, fot. Anna „Juzia” Juzwa

Iza Dyrlaga, blacha 400

Iza postanowiła przyjść na świat tam gdzie hrabia Adam Wielopolski wybudował hutę żelaza, a może było to tam, gdzie do dziś stoi drewniany, XVI-wieczny kościół p.w. św. Katarzyny Aleksandryjskiej?

Pewne jest natomiast to, że Iza od 30.01.2017 r. jest inżynieryjnym diamentem koncernów energetycznych, skarbnicą wiedzy na temat turbin, elektrowni i kolektorów słonecznych, w tym kolektorów umieszczonych na dachu schroniska na Markowych Szczawinach. Pasja do gór była w niej pielęgnowana od maleńkości przez rodziców, jak i zapewne przez późniejszą dojrzałą miłość do kolarstwa górskiego. Pośród wielu mieniących się górskich barw, upodobała sobie najbardziej te dzikie, nieokrzesane, zapomniane. Beskid Niski nie tylko zafascynował ją nocą w hotelu pod miliardem gwiazd, ale i smakiem oranżady otwieranej na kapsel. Iza chętnie spędziłaby niejeden tydzień eksplorując Góry Leluchowskie w poszukiwaniu okazów rzadkich roślin i interesujących przyjaciół. Miłośniczka kukurydzianych chrupek muskanych sokiem marchwiowo-malinowym firmy „Kubuś”, inicjatorka „Gotowań w Akademiku”, okraszonych również dobrym trunkiem i dysputami na temat górskich podróży.

Iza

Iza to towarzyszka podróży, która wyjdzie z każdej opresji, poprowadzi najbardziej ekstrawagancką grupę (w tym grupę terapeutyzujących się mnichów). Kursowa sparing partnerka nieustannie motywująca do podejmowania walki z egzaminami, lenistwem, zniechęceniem poprzez „bycie obok” i „bycie w kontakcie” z pozostałymi kursantami.

Łatwo osiąga wyznaczone przed sobą cele, jednak nie przepada za rozstaniami. Od marca 2017 r. rozpoczyna więc wszystko od nowa, a raczej kontynuuje przygodę z kursem – tym razem w innej roli i charakterze. Jest wnikliwą obserwatorką, o uhierarchizowanych priorytetach (góry, góry, góry…), chętnie angażującą się w działania społeczne i tzw. inicjatywy oddolne.

Uwiedziona przez kryminały lubi także stopniować napięcie w swoim życiu, dozując sobie moc emocji sportowych: czy wywiady z piłkarzami Skry Bełchatów nie powodują przyśpieszonego bicia serca? To prawdziwa Kobieta Renesansu – studiuje, chodzi po górach, jeździ na nartach, przeprowadza wywiady, gotuje, a nawet nieustannie ćwiczy umiejętności oratorskie w studenckiej rozgłośni radiowej Politechniki Śląskiej.

Kinga

TO BYŁO

✔ 24.01 – odbyło się spotkanie knajpowe w Klubie BackStagew Katowicach. Było ok. 15 osób.

✔ 19.02 Harnasie w Namaste. Slajdowisko pt. „Peru – podróż w stronę Cordillera Blanca” poprowadzili Ola Ginter, Asia Śliwa i Olek Sanetra. W klubie zgromadziło się ok 70 osób.

✔ 19.02 przyszło na świat nowe pH pełnej harnasiowej krwi – syn Ani i Piotra Latusek – Bartek.

✔ 23.02 czwarte Paskudne Śpiewanki pod hasłem „Miłość” połączone z tłustym czwartkiem.

TO BĘDZIE

✻ 25–26.02 **Blachowanie Kursu Przewodnickiego 2015/2016** na Hali Łabowskiej.

✻ 28.02 Rozpoczęcie kursu przewodnickiego SKPG „Harnasie”. Wykład inauguracyjny odbędzie się o godzinie 17:30 w sali 732 Wydziału Automatyki, Elektroniki i Informatyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Kurs poprowadzi Marysia Orzechowska.

✻ 18-19.03 Rajd na Powitanie Wiosny.

✻ 23.03 Paskudne Śpiewanki odbędą się jako oficjalne zebranie kołowe w Mrowisku i będą muzyczną integracją Harnasi starszych, młodszych i kursantów.

✻ **31.03 WALNE ZEBRANIE**

Michał Kulanek, blacha 401

Kursowy fotograf, który zawsze znajdzie w plecaku miejsce na swojego Nikona, a z czasem coraz częściej zdarzało mu się nawet robić zdjęcia ludziom. Zapalony podróżnik: gdy tylko nadarzy się okazja, a on znajdzie na mapie miejsce w którym jeszcze nie był, jest w stanie rzucić wszystko i ruszyć w podróż. Wielce prawdopodobne, że w tę wyprawę wyruszy jakimś samochodem z epoki – jeśli na parking dojeżdża (często z lekkim opóźnieniem) jakiś Trabant albo Łada, znaczy że również Michał przybył na miejsce zbiórki. Nieobalony car Księstwa Potóckiego, zazwyczaj wykończający proces gotowania Pulpy w Wielkim Garze mieszanką przypraw, oraz dorzucający do niej jakiś nietypowy składnik (jak np. bób w puszce).

Kamil

Michał